



Jeszcze o habilitacji

Podczas dyskusji toczącej się na łamach PAUzy przedstawiono mnóstwo argumentów za i przeciw habilitacji. Nie będę ich cytował. Stwierdzę jedynie, że jestem zdecydowanym zwolennikiem utrzymania habilitacji jako swoistej oceny wypełniania przez pracownika obowiązków służbowych. Zacznę od stwierdzenia najbardziej oczywistego, wynikającego z umowy o pracę. Umowa jednoznacznie definiuje, iż osoba podejmująca pracę na uczelni jest zobowiązana do prowadzenia dydaktyki i badań naukowych. Skoro tak, pracodawca ma prawo oczekiwać udokumentowania realizacji obydwu składowych umowy, a jedyną dokumentacją badań są publikacje zauważalne w dziedzinie działalności naukowej pracownika, co przekłada się na cytowania. Krótko mówiąc: zwykła, rzetelna realizacja przez pracownika podjętego na siebie zobowiązania prowadzi bezpośrednio do nagromadzenia dorobku naukowego. Wystarczy wyselekcjonować z tego dorobku monotematyczny cykl artykułów, wypełnić pewną liczbę papierów i tyle. Nie słychać złagodzone przepisy habilitacyjne kończą się przecież najczęściej dyskusją Komisji Habilitacyjnej, na którą często nie zaprasza się kandydata. Czy można pójść dalej w ułatwieniach? Przypomnijmy dawne habilitacje: monografia lub książka, kolokwium, przygotowanie trzech wykładów do wyboru przez Radę Wydziału/Instytutu, wreszcie oczekiwanie na zatwierdzenie przez CK. W przypadku wieloczłonowych wydziałów, takich jak BiNoZ, można się było spodziewać wszelkiego rodzaju pytań. Jestem geologiem, ubiegałem się o habilitację z dziedziny nauk o Ziemi, a musiałem odpowiedzieć na pytanie profesora biologii: jaka jest różnica pomiędzy kolonią mew i kolonią koralowców. Współczesnych habilitantów wszelkie takie stresy omijają. W moim przekonaniu habilitacja nie jest obecnie żadnym progiem trudnym do przekroczenia. Jest niczym więcej, jak dowodem rzetelnego wywiązywania się przez pracownika z podjętego na siebie obowiązku służbowego, łatwo realizowanego przez pasjonata nauki.

W czym zatem rzecz i o co chodzi w tym namiętym zwalczaniu habilitacji jako rzekomej bariery w rozwoju naukowym? Czy przypadkiem nie chodzi o brak dorobku naukowego tak znaczącego i obszernego, by wydzielić z niego część jako rozprawę habilitacyjną, pozostawiając dość na uzupełnienie osiągnięć naukowych? Inaczej mówiąc, czy zwalczanie habilitacji nie jest przysłowiową wodą na młyn osób, które nie wypełniają podstawowego obowiązku wynikającego ze stosunku pracy, nie są bowiem pasjonatami nauki i nie powinny być w ogóle znaleźć pracy na uczelni?

W każdym kraju, w którym byłem, a bywałem w wielu, istnieje system oceny, gradacji i awansu naukowego. Bywa on bardzo specyficzny dla danego kraju, bywa zbliżony do wielu innych. Młodszym czytelnikom PAUzy i dyskutantom przypomnę, że mieliśmy w Polsce bardzo poręczne stanowisko docenta, uzyskiwane po habilitacji. Anegdota głosiła, iż pewien wiceminister nie miał szans na profesurę tytularną, przemycił zatem w ustawie potworka w postaci stanowiska profesora uczelnianego i zlikwidował docenturę. Nie jestem biegły w nowym prawie. Czy jest w nim aby na pewno nakaz prowadzenia przez profesora uczelnianego badań naukowych pod rygorem cofnięcia na stanowisko adiunkta lub zwolnienia z pracy? A jeśli jest, czy będzie rzetelnie stosowany? Znałem niegdyś kogoś, kto w ciągu 26 lat zatrudnienia 'wysmażył' jeden mały przyczynek, a nie zwalniano go, ponieważ był „takim miłym i uczynnym kolegą”.

Zlikwidowaliśmy docenturę, namnożyliśmy profesorów uczelnianych, zlikwidujemy jeszcze habilitację, a z pewnością będzie miał rację Jan z Czarnolasu, pisząc: „Nową przypowieść Polak sobie kupi, że i przed szkodą i po szkodzie głupi”. Narody i państwa rzeczywiście znaczące w nauce mają systemy gradacji i awansu naukowego, niezmiennie przez dziesięciolecia, a nawet przez wieki. My wierzymy w reorganizację, zamiast uwierzyć w dwie proste prawdy: nie reorganizacja, a pieniądze i odpowiednia mentalność napędzają naukę.

JERZY FEDOROWSKI

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza

